

HENRYK SIENKIEWICZ

JANKO MUZYKANT
MODLITWA LASU

Paryż

Wyd. Arcydzieł Literatury Polskiej

HENRYK SIENKIEWICZ

JANKO MUZYKANT
MODLITWA LASU

Paryż

Wyd. Arcydzieł Literatury Polskiej

B
12

HENRYK SIENKIEWICZ urodził się w Woli Okrzejskiej na Podlasiu dnia 5 maja 1846 r. W Warszawie kończył studia gimnazjalne. Wakacje spędzał na wsi. Przyrodę ukochał; wnikał w jej tajniki, czerpał z niej rozkosz; znajdował zadowolenie życiowe, piękno i natchnienie.

Po ukończeniu gimnazjum przebywa w Warszawie, uczęszczając do Szkoły Głównej. Już wtedy próbuje swych sił na niwie literackiej. Umieszcza swe prace w Przeglądzie Tygodniowym, a później w Gazecie Polskiej. Pierwszą powieść « Na marne » wydaje w r. 1870. W roku 1876 udaje się w daleką podróż. Przejeżdża Niemcy, Francję Anglię, prze pływa Atlantyk. Podróżuje po Ameryce i Afryce. Podróże te przynoszą nam piękne listy z Ameryki i listy z Afryki, oraz W pustyni i puszcy. Geniusz Sienkiewicza wzrasta, sława powiększa się przez wydanie dzieł: « Stary sługa », « Hania », « Szkice węglem », « Janko muzykant », « Bartek zwycięzca », « Latarnik ». Ale po wydaniu « Ogniem i mieczem », « Potopu », « Pana Wołodyjowskiego », « Krzyżaków » staje się on nie pisarzem już, lecz przewodnikiem narodowym. Po trylogji pojawia się « Bez dogmatu », « Rodzina Połanieckich », « Quo Vadis » i wiele innych. Po roku 1900 przebywa w kraju we wsi Oblęgork, swojej posiadłości, którą otrzymał od rodaków w nagrodę za prace. W roku 1914 z konieczności opuszcza kraj i udaje się do Szwajcarii. Tam schodzi ze świata 15 listopada 1916 r.

Odszedł, lecz żyje w sercach naszych przez tę spuściznę duchową którą nam pozostawił.

JANKO MUZKANT

Przyszło to na świat wattle, słabe. Kумы, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką, i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta — powiada — to zapalę nad wami gromnicę, już z was nie- nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodziejaby posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powiada druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a — powiada — błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potem, wzięwszy dziecko, pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrzyć, i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie « krzczę » w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci przezwisko Jan, a teraz-że duszo « krześcijańska » idź, skądś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderlawego ciała: owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że, jak mówiły kумы: « Myślałyby kto: kocię, nie kocię, albo co! »

Posłano po księdza ; przyjechał, zrobił swoje, odjechał : chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszło baba do roboty. Chłopak ledwo « zipał », ale zipał ; aż w czwartym roku okukała kukulka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym a zapadłymi policzkami ; czuprynę miał kornopną białą prawie i spadającą na jasne wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka ; latem chodził w koszulinie, przepasanej krajką, i w słomianym « kapalusie », z pod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając, jak ptak, głowę dogóry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała « odmieńcem ». W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem, lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i, jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywalisobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Niewiadomo, skąd się to takie uległo ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł,

tak już o niczem innem nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi, szepleniąc :

— Matlu ! tak ci coś w boru « grzało ». Oj ! Oj !

A matka na to :

— Zagram ci ja, zagram ! Nie bój się !

Jakoż czasem sprawiała mu warzachwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a tak myślał, że tam coś w boru grało... Co ? albo on wiedział ?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało : cały bór i basta !

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły ! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucił, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i, odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co to się zdało ! Nazywali go ludzie « Janko muzykant !... » Wiosną uciekał z domu, kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burzczyć, gdy koguty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał, i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy jak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i, aby nie za-

snać, liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał pocihu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam, przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: « U-ha ! » Słuchać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: « Czegóż ? » Skrzypki śpiewały: « Będziem jedli, będziem pili, będziemia się weselili », a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: « Jak Bóg dał ! jak Bóg dał ! » Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał !...

Coby on zato dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki, grające cienko: « Będziem jedli, będziem pili, będziemia się weselili ! » Takie deszczutki śpiewające ! Ba, ale skąd ich dostać ? Gdzie takie robią ? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego !... Gdzie tam ! Wolno mu tylko było słuchać, to też i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim w ciemności.

— Nie pójdziesz-że ty do domu, utrapieniecze ?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: « Będziem jedli, będziem pili, będziemia się weselili » i poważny głos basetli: « Jak Bóg dał ! Jak Bóg dał ! »

Gdy tylko mógł usłyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nie nie mówił po całych dniach, spoglądając, jak kot, błę-

szczącemi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie, jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że wkońcu wyglądał, jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taką to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Weale nie był jak inne dzieci; był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przytem przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadnia skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać panie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie.

Państwo oddawna siedzieli zagranicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wschodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególnie wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły, jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek, nakształt srebrnego pręta...

Ah! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie: Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami, patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąć ku dziecku... Chwilami przygasaly, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźnie czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotaly łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź, Janku! w kredensie niema nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim

nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywał cicho, to głośniej: « Idź! pójdź! weź! » Lelek poczciwy cichym lotem zakreślił się koło głowy dziecka i zawołał: « Janku, nie! nie! » Ale lelek odleciał, a słowik został, i łopuchy coraz wyraźniej mruzczały: « Tam niema nikogo! » Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt zwolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: « Idź! pójdź! weź! »

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Naprózno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: « Nie! nie! » — Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jakgdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szmerać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagle, oddech krótki i świszczący, prztem ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem a zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą dogóry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka, i nie już nie było widać ani słychać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk

cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie :

— Kto tam ?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie :

— Kto tam ?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh ! Boże ! Słysząc klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie : « O ! dla Boga ! » szczerkanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliz go tam sądzić, jako złodzieja ?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi, zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest, i czego od niego chcą... Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi ? Do więzienia ją posłać, czy jak ?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

— Bo pewno !

Zawołali Stacha, co był stójką :

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodołce. Dziecko, czy nie zrozumiało, o co chodzi, czy się zalękł, dość, że nie ozwało się

ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią ? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i, podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął :

— Matulu ! — i co go stójka różgą, to on : — « Matulu ! matulu ! » — ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potraskane skrzypki !...

— Ej, głupi, zły Stachu ! któż tak dzieci bije ? Toż to małe i słabe, i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą ; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą rozczochraną głowę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ow promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła poprawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasluchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta, wracające od siana, śpiewały : « Oj, na zielonej, na runi ! » a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co, synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy.

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

— Da ci, synku, da! — odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żalność, więc, jękawszy tylko « O, Jezu! Jezu! » — padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania.

Jakoż nie wydarła go, gdy, podniósłszy się, znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

— Pokój ci, Janku!

Narajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

— *Quel beau pays que l'Italie!* ¹⁾

— I co to za lud artystów! *On est heureux de chercher là-bas des talents et de les protéger...* ²⁾

Nad Jankiem szumiały brzozy...

1) Jakże pięknym krajem są Włochy (franc.);
2) szczęściem jest znajdować tam talenty i popierać je (franc.)

MODLITWA LASU

Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wehodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły, wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała czarna pszczołka leśna i, śpiewając radośnie zwykłe: « dana oj dana! », dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ómy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka: komary poczęły żalną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzioby kos, lub załopotały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry; król dąb pomruknął z cicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze ciemniejszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już i wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i

ciche, choć ogromne, chóry — bo bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą i rzekłbyś: ludzka rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na łądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwają się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną, a mocną woń żywiczną. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają jak harfy, o dobry Ojciec nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna! Chwała Pań! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osieczyna drży lekliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lekliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka, w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołacze; owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok pada: w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i zdaleka, zdaleka, dochodzi szczekanie psów.

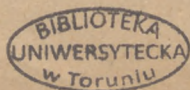


WYD. ARCYDZIEŁ LITERATURY POLSKIEJ

poleca :

1. Ojciec zadżumionych
2. Janko muzykant-Modlitwa, lasu z krótkim życiorysem autorów.

Wydano staraniem Ks. Jana Obarskiego.



Arch. Emigracji
Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383377

Biblioteka Główna UMK



300020931121

Arch. Emigracji
Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383377



Biblioteka Główna UMK



300020931121